NUMER 14. DNIA 15. KWIETNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

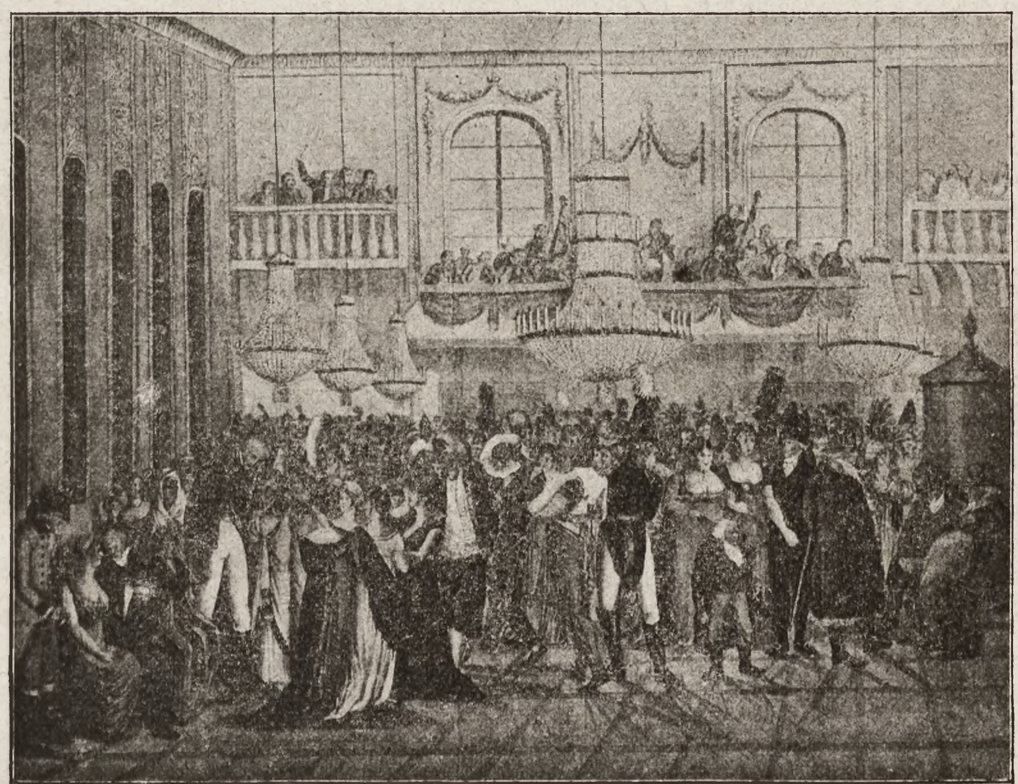
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Lwów przed stu laty.

II. Reduty i kontrakty.

Oba reprodukowane dziś w „Tygodniu“ obrazki, podług oryginałów Gerstenbergera w bibljotece Ba-



REDUTA WE LWOWIE W R. 1805.

Ze zbiorów bibljoteki im. Baworowskich.

worowskich, przedstawiają wnętrze dawnej sali redutowej, a w niej redutę w r. 1805 i zgromadzenie czyli „klop“ kontraktowy w r. 1806.

Reduty i kontrakty stanowiły z początkiem XIX. wieku główną treść ubogiego życia publicznego we spółczesnym Lwowie. Bawiono się zapamiętale na redutach, zapominając o smutnej teraźniejszości, a na kontraktach załatwiano najważniejsze sprawy majątkowe i... także się bawiono.

Równocześnie, gdy na widowni dziejowej tworzyła się nowa karta Europy, kiedy za orłami Napoleona wyszło z Polski wszystko, co miało jeszcze jaką nadzieję odrodzenia ojczyzny — Lwów bawił się, jak szalony bankrut bez jutra i nadziei. W murach jego skoncentrowały się na chwilę wszystkie żywioły „spokojne“, zrezygnowane, uciekające od gwałtownych przewrotów, wśród których upadały resztki dawnego państwa polskiego, tworząc miejsce księstwu warszawskiemu i Królestwu kongresowemu.

Galicja była już „spokojna“, uporządkowana,

z zamkniętą na wszystkie klucze obrożą niewoli. Więc do jej stolicy, do Lwowa, spieszyła z za kordonu magnaterja i średnia szlachta, pragnąca w spokoju przeżyć chwilę przełomu, tutaj i ziemianin galicyjski tysiące miał interesów, na żer ciągnęli Niemcy od Wiednia, dziesiątki „rycerzy przemysłu“, szulerów, ciemnych indywiduów, żądnych chleba i zabawy.

Reduta więc i kontrakty były niejako symbolem umysłowego życia lwowskiego w tej epoce, a sam Lwów przedstawiał się nawet obcym podróżnikom jako nowoczesna... Sodoma i Gomora.

W czasie, o którym mowa, odbywały się reduty i kontrakty w sali redutowej, obok dawnego teatru, przerobionego z kościoła i klasztoru Franciszkanów przy dzisiejszej ulicy Teatralnej, a w miejscu, gdzie dziś szkoła Mickiewicza i przemysłowa. Kościół ten, jeden z najstarszych we Lwowie, kryjący w podziemiach swoich między innymi grób błogosławionego Jakóba Strepy i sławnego heraldyka Bartosza Paprockiego, stanowił za polskich czasów widownię niejednego zdarzenia historycznego. Na jego dziedzińcu otoczonym krużgankami rozegrały się epizody smutnej pamięci wojny Kokoszej za Zygmunta I., tutaj odbywały się burzliwe nieraz i tłumne zgromadzenia szlacheckie. Po rewindykacji został kościół i klasztor w r. 1785 zniesiony, przyczem sam kościół przerobiono na teatr, do którego ówczesny przedsiębiorca i dyrektor teatru Henryk Bulla przybudował w latach 1791 — 95 sale redutowe kosztem 22.574 złr. 54 kr., za co otrzymał na lat 15 wyłączny przywilej na urządzanie redut i balów maskowych podczas kontraktów i zapust.

Wnętrze tej właśnie sali redutowej przedstawiają obydwie nasze ryciny. Jaką zaś sensację wywołało we Lwowie powstanie tego przybytku zabaw, świadczy notatka, pomieszczona w wychodzącym wówczas „Dzienniku patrjotycznych polityków“ w numerze 5 z r. 1795.

„Do rozmaitych ozdób miasta Lwowa — czytamy tam — już od kilku lat czynionych, należy teraz skończona redutowa sala, która prócz wnętrznych wygód, zewnętrzną nie małą okazuje wspaniałość. Zbudowana jest ta kształtem budowy jonickiej podług planu i pod dyrekcją biegłego tutejszego budowniczego dyrektora I. P. Mirza, pod dozorem budowniczego kancelisty p. Neider. Stosownie do najwyższego rozrządzenia właścicielem tego domu uczynionym jest I. P. Bulla, tutejszego teatru dyrektor. Tenże podobnież otrzymał przywilej na reduty i maskowane bale, na który przez wystawienie tak wspaniałego domu zasłużył sobie. Nie można jednak w tej mierze zamilczeć chwalebnej gorliwości i szlachetnego usiłowania konsyliarzowy I. C. K. Maryanny Hochfeldowy de Adlersberg, która wspierała zaliczeniem znacznych sum pieniężnych tę fabrykę, do powszechnego ukontentowania publiczności zdążającą“.

„Epokowy“ ten wypadek przyczynił się ogromnie do rozwydrzenia gustu publiczności lwowskiej. Reduty zresztą znane były i przedtem we Lwowie, a przeszczepili je na tutejszym gruncie dwaj przedsiębiorcy warszawscy Hampel i Dewillier jeszcze za polskich czasów. Hampel przybył do Lwowa w r. 1763 zaopatrzony w listy polecające podkanclerzego koronnego Michała Wodzickiego i siostry starosty lwowskiego Karoliny Kossakowskiej, którzy samego przedsiębiorcę i jego przedsiębiorstwo polecali gorącej opiece rajców lwowskich. W jeszcze silniejszą protekcję zaopatrzony był Dewillier, również mieszczanin warszawski, którego przedsiębiorstwo redutowe polecał w r. 1767 sam kanclerz koronny Młodziejowski.

Pod taką możną protekcją odbywały się we Lwowie reduty, zupełnie na sposób warszawski, a więc z „tańcem, grą w karty i przypatrywaniem się jedni drugim“, przyczem „po zapłaconym bilecie te dwie rzeczy służyły wszystkim w powszechności darmo: światło i kapela, resztę trzeba było sowicie opłacić“. Wszystko było na tych redutach tak, jak dziś, nawet... separatki: „prócz salów i pokojów publicznych, dla całej kompanji otwartych, antreprenerowie zachowywali pokoje osobne pod swojemi kluczami. Kawaler umaskowany prosił o klucz do osobnego pokoju, dał od niego pięć, sześć i więcej czerwonych złotych, powiadając, że chce w osobności wypić butelkę z przyjacielem lub w karty pograć. Antreprener nie wchodząc w roztrząsanie tego interesu, bo go dobrze rozumiał i był do niego ministrem, dawał klucz“... i t. d.

Reduty odbywały się początkowo w domu rajcy Hilarego Signio w rynku l. 13, później niejaki Bussy urządzał je w kamienicy Korytowskiego (brama Andriollego) i w domach przy ul. Ruskiej l. 10 i 12. Wstęp na redutę kosztował w abonamencie po 2 czerwone złote.

Po wybudowaniu osobnej sali redutowej przeniosły się do niej roje masek i mniej lub więcej dowcipnych dowcipów maskaradowych. Ostatnia reduta w tej sali odbyła się dnia 8. lutego 1842 pod firmą „bogini szczęścia“, poczem lary i penaty redutowe przeniosły się do gmachu teatru skarbkowskiego i do „Gwiazdy“, gdzie wiodą swój coraz nędzniejszy żywot karnawałowy aż do lat dzisiejszych.

Rycina nasza przedstawia redutę lwowską w czasach, w których, jak wyżej wspomniano, reduty i bale były treścią duchową lwowianina. Stroje z czasów pierwszego cesarstwa t. z. u kobiet suknie „greckie“ z wysokim bardzo stanem i fryzury spadające na skronie i zakrywające niemal całe czoło. Strój ten dał słynnej owego czasu kasztelanowej Kossakowskiej powód do złośliwego żartu, że mianowicie „elegantki lwowskie są bez stanu i bez czoła“.

Druga rycina przedstawia scenę z kontraktów lwowskich w tejże samej sali. Poważniejsze się już tutaj zbierało towarzystwo, urabiały kroci owe nieraz interesy, a równocześnie w bocznych pokojach odbywała się w najlepsze pijatyka. Zjazdy kontraktowe ziemian galicyjskich przypadały zwykle na czas karnawałowy, stąd sposobność łączenia spraw finansowej natury z zabawą.

Fr. Jaworski.



KONTRAKTY WE LWOWIE W R. 1806.

Ze zbiorów bibljoteki im. Baworowskich.

JÓZEF JEDLICZ.

Siostry.

Idą siostry, idą siostry trzy —
Jedna w białych dłoniach niesie łzy...

Druga, krocząc w mroku ciemnych drzew,
W swoich białych dłoniach niesie krew.

Trzecia w ciszy błędny stawia krok,
W swoich białych dłoniach niesie mrok.

Idą siostry w zmierzchu ciemnych drzew,
W ciszę spływa mrok i łzy i krew...

Idą, idą, idą siostry trzy,
Dziwne, dziwne, dziwne jako sny — — —

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI *).

A więc stało się, jestem uwięzioną, powiedziałam sobie, przechodząc przez korytarze dworca Granicy, prowadzące z pokoju żandarmskiego na peron; eskortowało mię dwóch drabów żandarmów, młodych, głupkowato patrzących chłopaków, jeden niósł kuferek i szedł ze mną, drugi poprzedzał mię. Byłam zła, zmęczona i rozkołatana podróżą nocną i całą tą hecą, mimo zapewnień żandarma

*) Luźne kartki „Z za kraty“ są pamiętnikiem dzielnej pracownicy na polu oświaty, którą w ubiegłym roku przytrzymano w Granicy z książkami i broszurami i zamknięto w więzieniu.

i jego namowy, nie przełknęłam nic ponad szklankę herbaty, a w wilję tego dnia, 28/3, jadłam kolację we Lwowie, głodu jednak nie czułam, tylko śmiertelne znużenie podczas pisania protokołu. Siedząc naprzeciw oficera żandarmerji, spisującego moje arcyważne przestępstwo, zasypiałam, teraz nic nie wiedziałam, co będzie dalej, powiedziano mi tylko, że pojadę do Sosnowca, no i wieziono mię tam. Ostatecznie wszystko mi było jedno, tu czy tam, świat się zawarł przedemą.

Do Zębkowic jechałam zwykłym pociągiem, moi stróże nie wiele się o mnie troszczyli, opowiadali sobie osobiste historje i cieszyli się, że kasjer nie wziął od nich pieniędzy za bilety i że skutkiem tego 90 kop. im zostaje. Widocznie podobna przyjemność nie zawsze ich spotykała, gdyż uciecha była wielką.

W Zębkowicach wysiedliśmy, zaprowadzono mię do bardzo brudnej izby na dworcu, żandarmskoje otdielenje, jeden ze strażników został ze mną, drugi kędyś poszedł, za chwilę wrócił i komunikował koledze, że pociąg do Sosnowca odszedł i że trzeba czekać do nocy na drugi. Rozmawiali ze sobą po rosyjsku, nie wtrącałam się do rozmowy, ale znając język rosyjski doskonale, wszystko rozumiałam: myśl czekania do nocy nie uśmiechała się mym strażnikom, postanowili więc, że mię powiozą pociągiem towarowym, który za pół godziny miał odejść. Jakoż niedługo jeden z nich podszedł do mnie i po polsku wytłumaczył mi, iż wobec braku innego pociągu zmuszeni są wieść mię towarowym. Skinęłam głową i znowu poszliśmy w tym samym, co i poprzednio, porządku. Wsadzono mię do pokoju konduktorskiego, którego właściciel zmuszony był ustąpić mi jedyne miejsce możliwe do siedzenia, zrobił to niby dobrowolnie i bardzo uprzejmie, pozostawiono mię samą, moi stróże stali na platformie. Konduktor wszedł i zabierał jakieś papiery, pochyliłam się ku niemu i szepnęłam:

— Jestem aresztowaną, jak pan widzisz, czy mogłabym pana prosić o wielką usługę?

Wiedziałam, iż przyjaciele moi będą niespokojni o mnie i chciałam posłać im wieść o sobie.

— Ale ja naprawdę nic zrobić nie mogę, — wyjęknął zagadnięty, — my zaraz z Sosnowca wracamy.

— Chodzi mi o drobiazg, o rzucenie kartki na dworcu — odpowiedziałam.

— A jeśli o to, to już łatwiej będzie i postaram się zrobić — szepnął drżącym głosem.

Wysunął się zaraz na platformę, a natomiast wszedł jeden z żandarmów, wpakował się na jakieś rusztowanie i usiadł nad moją niemal głową. Wszedł starszy konduktor.

— Zajęłam panu miejsce i pewno przeszkadzam — rzekłam wstając, by się usunąć.

— O nie, niechże pani się nie usuwa — odpowiedział mi bardzo uprzejmie, — proszę pani, muszę tu wziąć tylko papiery — i mówiąc to, patrzał na mnie bardzo życzliwie i serdecznie, w zmęczonych oczach jego czytałam współczucie. — To jest „Goniec“ ostatni, może pani zechce przejrzeć — dodał.

Podziękowałam mu i wzięłam pismo w rękę. Kto wie, kiedy jakie wieści dojdą do mnie ze świata.

Lekkie chrapanie przerwało mi czytanie opisu o rzuconej bombie na policmajstra Warszawy. To u góry spał snem sprawiedliwego żandarm. Wyjęłam ołówek, ukryty głęboko w rękawie, wyrwałam kartkę z notesu i skreśliłam parę słów — potem czytałam pilnie, przeczytałam wszystko, nawet ogłoszenia, przyglądałam się czcionkom, formatowi, spostrzegłam parę błędów zecerskich i w końcu zniszczyłam swą kartkę.

A jeśli kto dojrzy ją w ręku konduktora, jeśli ten biedny człowiek straci miejsce, mamże prawo narazić go na jakąbądź przykrość?

Sosnowiec! Żandarm zeskoczył z góry, porwał mój kuferek i, zwracając się do mnie, rzekł: Proszę pani.

Wysiadając, widziałam obu konduktorów, pierwszy opuścił głowę, unikając mego wzroku, drugi patrzał smutnemi, znużonemi oczyma.

Wsadzono mię do dorożki, jeden z żandarmów usiadł obok mnie, drugi stanął na stopniach i tak pod strażą aniołów dojechałam do żandarmskoho otdielenja.

Po schodach brudnych i zabłoconych weszłam do kordegardy wojskowej, czy do przedpokoju, brudno dymnej izby, przy jednej ścianie była długa ława, przed nią stół zarzucony papierami, pod oknem z boku przyrządy do pisania, telefon, wieszadła w rogu i szafa zapełniona aktami, przy stole dwu żandarmów pisało, ćmiąc ohydne papierosy.

Moi stróże powitali uprzejmie gospodarzy, zapytując ich o naczelnika.

— Poszedł na dworzec koleji, może wróci zaraz, może też pojedzie za granicę — odpowiedziano.

Ta ostatnia wiadomość nie podobała się ani moim stróżom, ani mnie, tamci chcieli zaraz wracać do Granicy, mnie nie ucieszyła myśl pozostawania długo w tej brudnej, zadymionej izbie, w towarzystwie czterech żandarmów.

Za chwilę wszedł do izby nowy żandarm, starszy wiekiem i urzędem, bo wachmistrz ten powtórzył, że naczelnik nie tak prędko przyjdzie, odebrał od żandarmów z Granicy moje pieniądze, kuferek, wydał odpowiednie pokwitowanie i wyprawił ich z powrotem.

Siedziałam, milcząc, zawinięta w futro, wachmistrz uważnie mi się przyglądał, czułam, iż jego przenikliwe oczy śledzą najmniejszy ruch, każde skrzywienie mięśni mej twarzy. O ile poprzedni żandarmi, tak Graniccy, jak i miejscowi, obojętnie spoglądali na mnie, o tyle ten wytężył całą swą uwagę, by mi się dobrze przyjrzeć. Podniosłam kołnierz futra i do połowy osłoniłam nim twarz, czułam jednak pełzające po sobie spojrzenia zbira.

W dobrą godzinę wszedł naczelnik żandarmerji, rotmistrz Zielonko, przeszedł przez przedpokój, zawezwał wachmistrza i za chwilę weszli obaj z powrotem, rotmistrz telefonem wzywał jakiegoś urzędnika dla przeprowadzenia badania; podczas gdy mówił przez telefon, przypatrywałam mu się. Średniego wzrostu, dość krępy i barczysty, nie robił przykrego wrażenia, ciemny blondyn z zarostem, miał również, jak i wachmistrz, przenikliwe, chłodne oczy, ale nie było w nich tych odcieni wstrętnych, tych podłych błysków, jak u tamtego, może się mylę, ale mam to głębokie przekonanie, że wachmistrz świetnie spełniałby obowiązek oprawcy, a kto wie, czy nie praktykował szlachetnego zawodu szpiega.

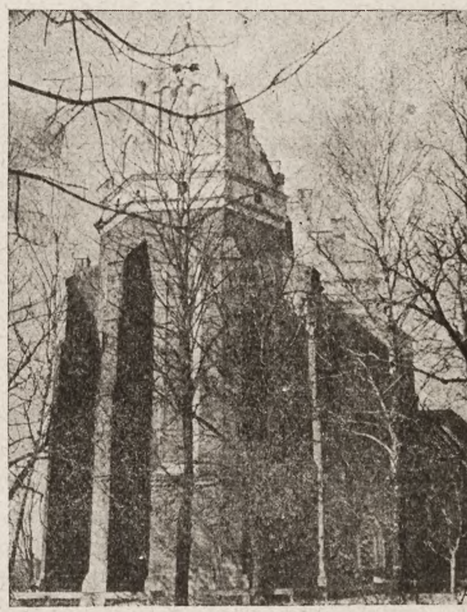
Pisząc te kartki, miałam zamiar dać dokładny opis całego biegu uwięzienia i samego więzienia, ale całą sprawę mą pomijam milczeniem, jest tak błahą, iż nikogo by nie zajęła, toteż i całą prawie indygację opuszczam.

(C. d. n.)

Odnowienie kościoła w Drohobyczu.

Dożyliśmy wreszcie czasów, w których cały szereg zabytków naszej przeszłości został powstrzymany od zupełnej ruiny i z epoki zaniedbania przechodzimy do epoki renowacji. Z radością więc myślano i u nas w Drohobyczu o odnowieniu kościoła miejscowego, będącego wspaniałym zabytkiem przeszłości, tem bardziej, że dzieło to mieli poprowadzić bezpośrednio pp. konserwatorowie. Wreszcie, gdy grosz napłynął, wzniesiono najpierw rusztowania dokoła absydy. A absyda ta była najniezwyklejszą częścią budowli! Wieńczył ją bowiem dumny, wyniosły szczyt, białemi płaszczyznami odbijający cudownie od ponurych kolorów zmurszałych cegieł, z których ściany absydy i całego kościoła są zbudowane.

Szczyt ten nie był stylowo gotyckim, był zbudowanym bowiem później o wiele od całości, harmonizował jednak, jak wskazuje rycina, wspaniale



ABSYDA KOŚCIOŁA W DROHOBYCZU (przed odnowieniem).

z wyniosłym charakterem kościoła. Było to dzieło ogromnego poczucia proporcji i fantazji prawdziwie artystycznej, która wyrwawszy się z ciasnych pęt stylu, dała potomności rzecz niezwykle piękną. Każdy też, kto przybył tu ze znawców i miłośników, podnosił niezwykły urok tego szczegółu, każdy go zapamiętał. A cóż dopiero ludzie przeżywający tu życie? Od dziecka ukochali oni tę dumną część sylwety kościoła, będącą najcharakterystyczniejszym punktem panoramy miasta!

W tem rusztowania się obniżają powoli i zdumionym oczom ukazuje się niewysłowiony brak! Szczyt dumny, ten prawdziwy djadem na skroniach absydy zdarty, leży, ot! tam, kupą gruzu i cegieł w błocie!

Żal więc i oburzenie, no i koniec zaufania (przecie) do pp. konserwatorów i ten — niech opinja publiczna sama osądzi, czy nie słuszny — protest! Więc na tem polega odnowienie?! Na przywracaniu bezwzględnem zimnej stylowości w pomnikach, które

wieki przetrwały? Ale weźmy rzecz zasadniczo, bo łatwo tu zarzucić parafianizm.

Charakterystycznem jest przecie dla każdej epoki, że dzieła swe uważa za doskonałe. Stąd nie dziw, że trudno spotkać zabytek na świecie, któryby trwając przez szereg epok historycznego rozwoju architektury pozostał wiernym stylowi, w którym go pierwotnie wzniesiono.

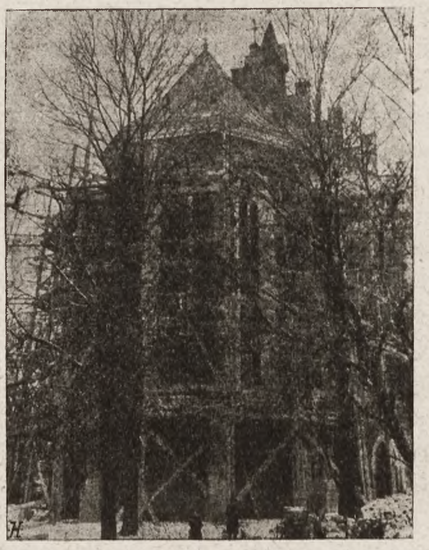
To była psychologiczna konieczność przecie, która przy renowacjach powodowała odnowicieli do upiększania czy oszpecania budowli na swój, przez siebie ukochany sposób. A odnowienie każde to ofiara, to splot najszlachetniejszych uczuć, czy mamy więc prawo unicestwiać to dla upartej chęci przywrócenia „czystości stylu?“ Mamy na to dosyć pola przy budowlach nowych, te wolno nam budować jak się komu podoba, ale nawet władza taka jaką jest grono pp. konserwatorów tylu moralnych a w tym wypadku nawet estetyc nych względów, chroniących status quo budowli starożytnej, przy renowacji lekceważyć nie powinna.

Przeczuwam już wprawdzie powody, jakie ewentualnie, jeśli w ogóle ktoś z prowadzących odnowienie Panów, raczy nam odpowiedzieć — przytoczy na wytłumaczenie tego postępowania. Oto pierwszy: Mur ten był za słabym i groził zawaleniem, lub obciążał całą absydę nadaremnie. Ale jak widać z ryciny, nawet nie był on wcale zbyt zniszczonym, zresztą można go było wzmocnić mniejszym nakładem, co do obciążania zaś to przecie trzy płaszczyzny miedzianego dachu, oparte na przerażająco grubych belkach, nie muszą być wcale lżejszymi.

A dalej, powie ktoś może: Cóż stała się za krzywda, gdy takie zakończenia dachów mają absydy kościołów Panny Marji w Krakowie, Notre Dame w Paryżu i mnóstwo innych sławnych świątyń. Na to jednak jest łatwa odpowiedź, pominąwszy już wartość zwalonego szczegółu i jego oryginalność.

Absydy świątyń takim sposobem zakończone mają dachy wyniosłe daleko więcej od drohobyckiej, więc z wysokością murów absydy harmonizują te zakończenia dachowe zupełnie dobrze, podczas gdy w tym wypadku, jak widać z ryciny, proporcje wypadły skandalicznie i całe zakończenie wygląda jarmułkowato, mimo swych małych rozmiarów przytłaczając absydę a z charakterem stylu gotyckiego t. j. ze strzelistością niema nic wspólnego.

Pominąwszy więc już względy moralne, sukces estetyczny jest zupełnie ujemny a dzieło renowacyjne, biorąc już rzecz z której strony kto chce, niema się czem pochlubić. A gdyby tak śmiano żądać wzniesienia tego szczytu na nowo? Prawda, że byłoby to niesłychanie trudnem do przeprowadzenia, choćby ze względu tylko, że grono konserwatorów jest przecie władzą. Rzecz by więc utknęła wśród trudności, choć miałaby ona za sobą i głos czasu i pietyzmu i miejscowych lub zamiejscowych miłośników, ale do zwalenia mimo braku tych głosów ze względu na autorytet i władzę przeszkody się nie znalazły i myśl w burzący czyn przeszła z całą brawurą. Wobec tej nauczki, nie mając nadziei, aby nasze stosunki mogły doprowadzić do poprawy „dzieł“ tej renowacji, zwracamy się już naprzód do opinji publicznej, zwracając jej uwagę na los dalszych szczegółów.



ABSYDA KOŚCIOŁA W DROHOBYCZU (po odnowieniu).

I tak w „Tygodniu“ z dnia 1. kwietnia 1906 reprodukowano bramę wchodową boczną. Marmurowe gotyckie jej odrzwia czas pokrył koronką pęknięć drobnych, delikatnych, nie grożących wcale zawaleniem, całość więc ma przedziwny charakter, tchnący czarem zamierzchłych wieków, gdyby więc odrzwia te miano nietylko cokolwiek uzupełnić, ale dać nowiuteńkie, to z charakteru, jaki im nadał bieg czasu, nie zostałoby nic i w ogóle kościół by na tem stracił. A przecie odnowienie nie jest „wyglancowaniem“ budowli i doprowadzeniem do wyglądu bufetu cukiernianego! Za to nową wartoby dać bramę główną, która niezawodnie była gotycką i w najnowszych czasach z wstrętną niedbałością została zmienioną przez barbarzyńskich opiekunów kościoła, bo znać to po tynku, którym (mimo, że cały kościół jest z czerwonej cegły) zamazano

górną część ostrołuku, wypełniwszy ją cegłami po wstawieniu odrzwi obecnych.

Co do wnętrza, to nie zaczęto go jeszcze odnawiać, czego oczekując w wielkim strachu, nie omieszkamy już teraz naprzód w gościnnych łamach „Tygodnia“ bronić w myśl tu wymienionych, zasadniczych pojęć o odnowieniu, szanującem prawdziwie ofiary przodków naszych.

Nakoniec, dając opinji publicznej próbkę skutków działań renowacyjnych jedynie na podstawie autorytetu rozkazującej komisji c. k. konserwatorów, śmiemy rzucić myśl, choć tak może w naszych stosunkach niesłychanie śmiałą.

Wobec tego, że ludność miejscowa może mieć do pewnej części zabytku jakiś pewnego rodzaju kult, to jest specjalnie go ukochać, a że ta ludność płaci w jakiej bądź formie za renowację, więc czy niebyłoby naturalnem przed restauracją, ażeby ktoś z prowadzących ją w odczycie skreślił plan restauracji! Nie byłoby to przecie żadnem ograniczeniem praw pp. konserwatorów, choćby po takim odczycie dopuścili do dyskusji nawet. Na pewno zaś szczery głos interesujących się zabytkiem miłośników, wpłynąłby nieraz na objektywizm w traktowaniu planu restauracji, zapobiegłby niszczeniu najdroższych pamiątek a zrzucił zarazem odpowiedzialność wobec potomności z kilku urzędowych osób, wkładając ją na szerszy ogół.

A przeciw zachciankom fachowo nie umotywowanym przecie pozostałaby i tak władza pp. konserwatorów, któraby nie potrzebowała ich słuchać.

Jeśliby zaś już odczyt był rzeczą za uciążliwą (jako rekompensata za grosz łożony na odnowienie!), to niechby choć artykuł w poczytnem czasopiśmie ze strony pp. konserwatorów zredagowany uwolnił społeczeństwo od takich niespodzianek i dał mu możność wypowiedzenia w czas swych pragnień.

Drohobycz, w kwietniu 1906.

J.

WOJCIECH BRZEGA.

ZIMA.

Przestała krupowiańska woda szumieć. Gdzieś tam jeno w polanach śpiew górala kona i cisza przez chwilę panuje nad ziemią. Cisza, co człeka tak obejmuje, tak wciska się w jego mózg, w nerwy, że szum krwi własnej w głowie słyszy, aż lęk go jakiś zbiera.

Wtem góry zaczynają gwarzyć. Pomruk jakiś idzie od tych granitowych olbrzymów; pomruk buntu i gniewu. Ziemia zakuta lodami, ściśniona mrozem słucha głosu gór.

„Burze, wichry, pioruny przeszły nad nami tysiące razy; niewola zimy lodami nas zakuła, zmroziła nasze czoła, ale w głębi ogień - życie trwa. Niech mróz rozsadza skały, niech śmierć na skrzydłach wiatrów, po halach szuka ofiary — to wszystko przejdzie i zginie, gdy słońce swobody zaświeci nad nami“.

A pod Krywaniem, w odwiecznym borze, niedźwiedzie leże; tam ręka ludzka jeszcze nie dosięgła, nie wydarła skarbów górskiej krainie; tam spokoju natury nikt nie mąci, bo śmierć stoi na straży dziewiczej natury. Tam noga ludzka nie kruszy gwiazd śniegowych, co zbocza gór i zieleń lasów ciemnosmreczyńskich przykryły, jak welonem przejrzystym; a kie miesiąc wyjdzie nad góry, to zbocza i lasy sędzeliną z gwiazd śniegowych odziane zagrają barwami brylantów. Nikt tu ciszy nie mąci, nikt nie widzi tych brylantów, chyba ten oreł, co w nizinach zatęschni do górnej krainy, przyleci, zakrąży ponad lasami, aż wpłynie w przełęcze wirchów.

Cisza tu, cisza; aż las się obudzi i zacznie szumieć, aż woda potoków z pod lodu zagra, aż wiatr po lesie przeleci i zmiecie gwiazdy śniegowe, wrzuci je skłębione w szczeliny i przepaście górskie.

Znów las się zaczerni doliną, sfaluje, otrzepie konary z okiści, a kiedy ciepły obłok od węgierskiej strony wypłynie nad góry, niech wnet powraca do swej krainy, bo tam w podhalskich kościołach święcą bazie i skowronek szuka kopliny po polach.

ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

Moje Credo.

Że wam już usta okwitły z wawrzynu
I górnych skrzydeł zabrakło do lotów —
Sądzicie i nas słabymi do czynu:
Jako dłoń nasza nie udźwignie młotów,
Aby wykuwać nimi nowe życie —
Wy, którym braknie uśmiechu o świcie!

Przeciw wam, sędziom, zrywam się protestem
Przez ból, dążący z chat do sławy grodu...

Aby młot dźwignąć — silny dosyć jestem!
Przeszedłem czyściec męczarni i głodu,
Lecz nie osłabion w twardej życia męce,
Silny powstaję i podnoszę ręce!

Silnym się czuję — mocnym przez tę wiarę,
Którą przez męki życia niosłem z sobą,
Jako najdroższą Ojcom swym ofiarę,
Młodzieńczych marzeń nie tkniętą chorobą,
Nie obleczoną w senną marę cudu —
A tem trwającem jest wiara w moc ludu!

Bo lud nasz, jako wielki dzwon zaklęty
Na zapomnianej przy grobowcach wieży;
Lecz kiedy w wieżę wpadnie wicher święty
I kiedy serce w tym dzwonie uderzy
I na świat cały rozniesie się granie —
Któż wtedy jeszcze zwątpi w Zmartwychwstanie!

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Chmielowski Piotr: Krytyczno-porównawczy przegląd dziejów piśmiennictwa polskiego, nakreślił... Tom I. Literatura staropolska. Tom II. Literatura polska nowożytna. (Podstawy wykształcenia współczesnego Tom V. i VI.) Warszawa. Nakładem i drukiem M. Arcta. 1905. 8-vo str. 148 + 155.

Jest to jedna z ostatnich obszerniejszych prac ś. p. prof. Chmielowskiego, wydana jednak dopiero po jego zgonie. Zamierzał w niej dać autor syntetyczny pogląd na rozwój historji literatury polskiej w związku z historją literatury powszechnej, dlatego pominął w książce swej, jak sam się wyraża, „cały zasób biograficzno-bibljograficzny, zwrócił zaś głównie uwagę na charakterystykę okresów i wybitnych przedstawicieli każdego z nich“, uwzględniając przytem stan równoczesny oświaty europejskiej. „Przegląd“ prof. Chmielowskiego jest w istocie krytyczny, ocenia bowiem w ogólności słusznie wartość i znaczenie literatury naszej, określając przytem zasługi wybitniejszych naszych pisarzy, porównawczym jednak nie jest, autor bowiem mimo założenia swego, że literaturę polską rozpatrzy w związku z obcemi, nie odpowiedział w zupełności założeniu tak, że pod tym względem książka jego nie tylko nie przynosi nowych szczegółów, lecz nawet nie uwzględnia dotychczasowych badań. Rzecz zresztą traktuje autor nierównomiernie, raz wspomina o stosunku do literatur obcych, innym znów razem zupełnie go nie uwzględnia. Niezawodnie, że praca w kierunku wymienionym nastręcza wiele trudności wobec małej ilości rozpraw przygotowawczych, mimo to o literaturze naszej z tego właśnie punktu widzenia można było już dzisiaj coś więcej powiedzieć.

O niedostatkach swej pracy wiedział najlepiej sam autor: nie uważa on książki swej za dzieło wykończone, chciał w niem dać tylko pobudkę do przedsięwzięcia prac w wymienionym kierunku, na podstawie których można będzie kiedyś napisać istotnie „porównawczy“ przegląd naszej literatury.

Szczupłość miejsca wyznaczona autorowi przez wydawcę wpłynęła na nierównomierne traktowanie poszczególnych okresów; wiekom średnim poświęca autor 3 rozdziały; później zobaczywszy, że na podobne szerokie traktowanie nie pozwolą mu warunki, jakich musiał przestrzegać, znacznie zwięźlej rzecz całą przedstawiał. Najwięcej miejsca zajmuje wiek XIX., opracowany w siedmiu rozdziałach. Wielką zaletą książki prof. Chm. jest, że wskazuje na kilka tematów ważnych, dotąd nie opracowanych, może więc poniekąd stać się pobudką dla pracujących w tym kierunku. *Dr. Wiktor Hahn.*

Spadek piśmienniczy po generale Maurycym hr. Hauke. Z rękopisu wydał i przedmową poprzedził Aleksander Rembowski. Warszawa 1905.

Hauke, mimo swego cudzoziemskiego pochodzenia, był Flamandczykiem, spędził całe niemal życie na usługach Polaków.

Rozpoczął od walk pod Nieświeżem i Grannem, potem bił się we Włoszech. Awansowany na pułkownika i szefa sztabu Dąbrowskiego, organizuje armję polską do walk 1807 r., potem już jako generał dywizji broni Zamościa, a wreszcie w dobie Królestwa mianowany po Wielhorskim zastępcą ministra wojny, przetrwał na tem stanowisku, aż do nocy listopadowej, w której go podchorążowie zabili.

Spadek piśmienniczy po nim pozostały obejmuje księgę minut, rozkazów, korespondencje, itp. z 3. miesięcy r. 1807, i dziennik oblężenia Zamościa, podczas jego komendantury, obie rzeczy nadzwyczaj charakterystyczne i ciekawe, przez ogłoszenie których p. R. przyczynił się bardzo do większego zgłębienia ówczesnych stosunków.

Mniej można go pochwalić za przedmowę, obejmującą głównie życiorys Haukego zwłaszcza słabszą jest ta część druga w której autor stara się zrehabilitować pamięć tego jenerała, mocno nadwerężoną jego działalnością z doby Królestwa i jego zamordowaniem.

Działalność Haukego można podzielić na 2 części, do roku 1875 czysto wojskową i z czasów Królestwa administracyjno-polityczną. Pierwsza jakoteż i administracyjna z drugiego okresu przysparza jenerałowi tylko chwałę, ale co do tej politycznej to są pewne wątpliwości. których autor nie usunął, kładąc nacisk na działalność administracyjnej natury (budowę koszar, zrzeczenie się płacy), a nie zwracając należytej uwagi na jego stosunek do W. Księcia i instytucji konstytucyjnych, — a punkt ten nasuwał się tem więcej pod rozwagę, że R. dość mówi o Wielhorskim, który właśnie wskutek silnego trzymania się konstytucji musiał zrobić miejsce Haukemu.

Również nie godziłbym się na przecenianie wpływów tajnych związków na ówczesne życie polityczne kraju, nazywanie ich dążenia do niepodległości „niedościgłem widmem“, a działalności ich „podkopywaniem z gruntu całego bytu konstytucyjnego“.

Zresztą autor nie wydaje w tym wypadku jakichś dalej idących sądów, spodziewając się, że kiedyś biografja Haukego oparta na badaniach archiwalnych rozja ni niejedną wątpliwość.

Bronisław Pawłowski.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.